

# Sternik

tygodnik dla młodych

ROK II Nr. 15 — 16.

WARSZAWA, 9 LISTOPADA 1930 R.

CENA 50 GROSZY



*Marszałek Józef Piłsudski, Twórca Niepodległości Polski,  
w mundurze legionowym z 1915 r.*

# LISTOPAD 1918 ROKU

Wielka Wojna dobiegała końca, a horoskopy dla Polski wciąż były zamglone.

Wprawdzie wiara w sprawiedliwość dziejową i w doniosłość samorzutnego czynu Legionów dawały wielkie nadzieje, jednak fakty, które zaszły w latach 1917 i pierwszej połowie 18-ego budziły uzasadnione obawy.

W Rosji szalała rewolucja. Hasła rozdawnictwa ziemi i nowego, socjalistycznego ustroju sprawiały, że żołnierze rzucali broń i tłumnie wracali do domów. Bolszewicy nie mogli chwilowo dłużej prowadzić wojny, to też już w listopadzie 1917 r. zwrócił się Lenin do Państw Centralnych z propozycjami pokojowymi. Mogli przeto Niemcy siły swoje przerzucić z frontu Wschodniego na Zachodni i w zmęczone oddziały armij centralnych wstąpił nowy duch.

Nad Polską zawisła groźba, że o jej losie stanowiąc będą zwycięskie Niemcy. I już poza naszymi plecami toczyły się tajne o nas układy: Niemcy mieli zagarnąć nasze zagłębie węglowe, uczestniczyć w zyskach z naszych domen i kolei, a nam narzucić do spłacenia część swego długu wojennego. Przeciwno nam wygrywali sprawę litewską i ukraińską, co nas potem miało kosztować strumienie krwi i całe lata walki politycznej.

Wspomniane rokowania z Rosją nie doszły do skutku, ale zawarto odrębny pokój z Ukrainą. W tym to pokoju, Brzeskim (9 lutego 1918 r.) odstąpiono Ukrainie Chełmszczyznę, a więc ziemię męczenników za wiarę i polskość. Chodziły głuche wieści, że i pół Galicji (mianowicie jej część wschodnią) oddano Ukrainie, za cenę ukraińskiego zboża dla zgłodniałego Wiednia. Rozpoczęły się wtedy manifestacje społeczeństwa polskiego, tak poważne i przejmujące, że nie próbowano ich stłumić.

Tymczasem nasza siła zbrojna, Legjony, były w rozbiciu. Oficerowie I i III Brygady internowani w Benjaminowie, legjoniści — w Szczypiornie; część II Brygady w Marmarosze Sziget, a część jej przedzierała się ku wybrzeżu murmańskiego. Komendant Piłsudski wraz z szefem sztabu Sosnkowskim już od sierpnia 1917 r. uwięzieni byli przez Niemców w twierdzy magdeburgskiej i ściśle izolowani. To uwięzienie Komendanta i rozbicie Legjonów odczuwało społeczeństwo polskie jako krzywdę szczególnie dojmującą. Komendant był symbolem walki o Niepodległość, z nim i z Legjonami wiązały się nasze największe nadzieje, oni zaspakajali naszą potrzebę kochania wojska i wodza, oni byli piastunami Honoru Polski. I ich właśnie „unieszkodliwili“ Niemcy, a Rada Regencyjna niewiele mogła temu przeciwdziałać.

Tymczasem, gdy w Polsce znaczenie Rady Regencyjnej słabło z tygodnia na tydzień — w świecie zachodnim Sprawa Polska nabierała treści i zaprzątała co szlachetniejsze umysły.

— Już w ciągu 1917 r. padało parokrotnie hasło odbudowania Państwa Polskiego (Włoch, Montresor 7.12.1916 r.; Woodrow Wilson — deklaracja z dn. 22.1

1917 r.; Lord Balfour — 19.12.1917 r.), a styczeń 1918 r. przyniósł światu sławnych 14 punktów Wilsona. W nich to Prezydent Stanów Zjednoczonych, szlachetny idealista, przejęty myślą przebudowy świata na zasadach sprawiedliwości i pełnego uznania praw narodów, stwierdza konieczność powstania niepodległej Polski, obejmującej wszystkie niewątpliwie przez Polaków zamieszkałe terytorja i mającej dostęp do morza (§ 13). A w kilka miesięcy potem — 3 czerwca 1918 r. — konferencja prezydentów ministrów Anglii, Francji i Włoch powzięła uchwałę bardzo zbliżoną do § 13 orędzia Wilsona.

W lipcu tegoż roku załamuje się atak wojsk niemieckich i rozpoczyna kontratak wojsk koalicyjnych, prowadzonych przez gen. Focha. W końcu września załamuje się front włoski i bułgarski, na początku października Austria, Niemcy i Turcja zwracają się do Prezydenta Wilsona o warunki pokoju, 11 listopada następuje zawieszenie broni.

Militarystyczne Niemcy załamują się; Wilhelm II pospiesznie opuszcza Berlin, w którym wybucha rewolucja.

W czasie tych wypadków i w Polsce zmieniło się wiele. Rada Regencyjna ogłasza manifest w dn. 7 października 1918 r., żądając likwidacji okupacji, obejmując rządy, żądając powrotu internowanych, w szczególności Komendanta Piłsudskiego.

23 października utworzono rząd, premierem został Józef Świeżyński, miejsce ministra wojny zastrzeżono dla brygadiera Piłsudskiego, który był wciąż jeszcze więziony przez Niemców. Rozumiano, że Wielki Bojownik za niepodległość musi wziąć chociaż część władzy w swoje ręce.

Istotnie — wziął, lecz nie część, przekazano Mu całą władzę. Kiedy po wypuszczeniu przez Niemców, stanął na dworcu warszawskim rano 10 listopada oczekiwała go mała grupa osób, a już nazajutrz, 11-go Rada Regencyjna oddała mu władzę wojskową i naczelną dowództwo wojsk polskich. W trzy dni potem rozwiązała się i pełnię władzy przelała na Komendanta Legjonów.

Bez wstrząsów zatem, jedynie w poczuciu zasług człowieka i wierząc w jego instynkt, do umocnienia niepodległości i budowania potęgi Polski — oddano mu pełnię władzy, w sposób legalny, karny i zgodny.

Na ulicach tymczasem Niemców rozbrajano. Żołnierze wszystkich polskich formacji (nawet przez linie bojowe i druty kolczaste szła ich droga do Polski..), harcerze, ludność cywilna — wszyscy ich wypierali. Unikano przytem rozlewu krwi. Niemcy ustępowali naogół łatwo — byli smutni, zgnębieni, apatyczni: wyszli z ojczyzny potężnej, wracali do zwyciężonej.

11 listopada 1918 r. — dzień objęcia władzy w Polsce przez Komendanta Piłsudskiego i wypędzenia Niemców z Warszawy, to zarazem pierwszy dzień Niepodległości Państwa Polskiego.

Jeszcze w Poznańskim i na Pomorzu byli Niemcy, Małopolska Wschodnia i Lwów krwawiły się

w walce z Ukraińcami nie mieliśmy ani skrawka dostępu do morza; armja była nad wyraz szczupła, kraj zniszczony, przemysł doprowadzony do ruiny, a wrogowie dookoła.

Mimo to radość rozpierała nam serca. Wszak mieliśmy już Państwo Polskie! Wierzyliśmy, że kto,

jak my, ma ojczyznę, ten złamie wszystkie trudności.

To też dzień 11 Listopada jest wielkiem świętem Polaków po wszystkie wieki. Jest dniem zwycięstwa i radości. Jest dniem krzepienia wiary w rosnącą potęgę Rzeczypospolitej.

M. U.

JÓZEF MACZKA.

## STARYM SZLAKIEM

Starym ojców naszych szlakiem  
Przez krew idziem do wolności!...  
Z dawną pieśnią, dawnym znakiem —  
My, żołnierze sercem prości,  
Silni wiarą i nadzieją,  
Że tam kędyś świty dniają!

Zawołały ku nam zdala  
Starych hasel złote dzwony!  
Zaszumiła kłósów fala,  
Wiatr z dalekiej powiał strony  
I na złotym grał nam rogu  
Pieś o sławie i o urogu!

Zamarzyły się nam czyny  
Z pod Grochowa, Ostrołęki —  
Krwawych ojców krwawe syny  
Zapraǳęlim świeżej męki,  
Bowiem w grobach kości stare  
Wciąż wołały: Exoriare!

Starym ojców naszych szlakiem  
Przez krew idziem w nowe zorze!  
Z dawną pieśnią, dawnym znakiem  
Po wyroki idziem Boże  
W przełomowej dziejów chwili,  
Które w snach my wymodlili!

Niech za nami nikt nie woła!  
Niech za nami nikt nie płacze!  
Górą jasne niesiem czoła,  
Radość w piersiach nam kołacze,  
Duma ogniem lica płoni,  
Że idziemy — jako Oni!

Starym ojców naszych szlakiem  
Przez krew idziem w jutra schody,  
Z dawną pieśnią, dawnym znakiem,  
Na śmiertelne idziem gody,  
By z krwi naszej życie wzięła,  
Ta — co jeszcze nie zginęła!

JERZY ŻUŁAWSKI.

## DO MOICH SYNÓW

Synkowie moi, poszedłem w bój,  
jako wasz dziadek, a ojciec mój,  
jak ojca ojciec i ojca dziad,  
co z legjonami przemierzył świat,  
szukając drogi przez krew i blizny  
do naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, da nam to Bóg,  
że spadną wreszcie kajdany z nóg,  
i nim wy męskich dojdziecie sił,  
jawa się stanie, co dziadek śnił:  
szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny  
łan naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, lecz jeśli Pan  
nie da zejść zorzy z krwi naszych ran,  
to jeszcze w waszej piersi jest krew  
na nowy świętej wolności siew:  
i wy pójdziecie pomni spuścizny,  
na bój dla waszej Ojczyzny!

JÓZEF MACZKA

## KIEDYŚ

Kiedyś... po latach — gdy scichną te fale,  
które nas w wirów porwały odmetry,  
kiedy opadnie huragan krwi wzdęty  
i lży obeschną i scichną już żale —

Ze czcią ujmiecie pogieęte pałasze  
i zawiesicie na ścianach wysoko...  
i lżą serdeczną zabłyśnie wam oko —  
gdy wam powiadać będą dzieje nasze.

I będzie pełny znów każdy zakątek  
polskich relikwii i polskich pamiątek.

I znowu ogniem zapłoną wam lice  
w nasze zmnożone, żalodne rocznice.

I w niebo pieśni popłynie orędzie —  
kiedyś — po latach — gdy nas tu nie będzie...

# Ci, co jeszcze nie mają wolności

Sympatje polskie dla ludu kaukaskiego datują się od bardzo dawna, ale datują się szczególnie od czasów, kiedy ciemniżyła nas ta sama ręka potężnej Rosji. I jeżeli żyją w nas dawne tradycje Polaków, którzy „są wszędzie tam, gdzie bronią wolności”, to powinniśmy poznać dzieje tych ludów, którym wojna światowa nie przyniosła jeszcze wolności, a którzy każdy dzień znaczą krwią ofiar walki o niepodległość.

Gruzini najwcześniej wytworzyli własną państwowość i kulturę. W kształtowaniu się ich pań-



*Góralka w stroju narodowym*

stwowości i kultury odegrało dużą rolę przyjęcie chrześcijaństwa już w IV-ym wieku po Chrystusie.

Etnograficzne granice Gruzji stanowią: od północy góry Kaukaskie, od południa góry Armeńskie, od wschodu Azerbajdżan, od zachodu morze Czarne, od strony południowo-zachodniej Gruzja graniczy z Turcją.

W pierwszym wieku po Chrystusie Gruzja wpadła w orbitę panowania rzymskiego, później Bi-

zancjum i Persja wywierały na nią duże wpływy. W VII-ym i VIII-ym wieku wschodnia Gruzja znajduje się pod panowaniem Arabów, zachodnią rządzi Bizancjum. Ale już w drugiej połowie VIII wieku budzi się poczucie narodowościowe, chęć wyzwolenia się z pod obcego panowania, oraz dążenie do konsolidacji i stworzenia własnej państwowości. Proces ten trwa blisko dwa wieki, a ustawiczne walki z Arabami, Bizancjum i Turcją opóźniają jego zakończenie. Wreszcie pod koniec XI wieku zjawia się władca, który dzięki swej mądrej polityce i męstwu jednoczy całą Gruzję i tworzy potężne państwo, którego zaczynają się obawiać muzułmanie.

Wyludniony i zniszczony kraj zaczyna się zaludniać i odbudowywać dzięki mądrej polityce populacyjnej króla Dawida, którego wdzięczny naród nazwał Budowniczym państwa gruzińskiego. Zaczyna się złoty wiek historii Gruzji, którego szczytowym punktem jest panowanie królowej Tamary Wielkiej (1184 — 1213).

Wiek dwunasty i część wieku trzynastego to najpiękniejsza karta w dziejach rozwoju Gruzji, potęga polityczna, bogactwa materialne oraz rozkwit nauki i sztuki łączą się wówczas w harmonijną całość. Najznakomitszym przedstawicielem ówczesnej literatury gruzińskiej jest poeta żyjący za panowania Tamary Wielkiej: Szotha Rustaweli. Pisarz ten jest zjawiskiem niezwykłym, nie tylko z powodu niepospolitego talentu poetyckiego, ale także z powodu wielkiego liberalizmu i nowoczesnego oceniania zjawisk społecznych. Tak na przykład był on pierwszym bojownikiem o równouprawienie kobiet i gdy Tamara miała wziąć w swe ręce ster państwa, Szotha wypowiedział piękne słowa: „Lwiątko zostanie lwem bez względu na to czy to będzie samiec czy samica”. Tamara w zupełności usprawiedliwiła ten pogląd.

Ale szczęśliwe chwile Gruzji miały się niemiłosiernie skończyć. Wkrótce po śmierci Tamary Wielkiej, Turcy spustoszyli i zniszczyli ten kraj, a wewnętrzne rozterki i wzrost możnowładztwa osłabiły całe państwo. Wreszcie w drugiej połowie XIII wieku Gruzję zawładnęli Mongołowie. Następuje upadek ekonomiczny kraju wskutek wygórowanych podatków ściąganych przez Mongołów. Gruzja podzielona jest teraz na cztery królestwa, których władcy wyniszczają się nieustannie.

Pod koniec XVIII stulecia, korzystając z osłabienia Persji, Irakli II tworzy niepodległe państwo wschodniej Gruzji. W zachodniej Gruzji udaje się Salomonowi I uniezależnić się od Turków. Pomimo odbyskanej niepodległości, obydwa królestwa były niesłychanie wyludnione i zniszczone przez nieustanne wojny. Persja i Turcja nie przestawały im zagrażać, dlatego władcy obu królestw zwrócili się do cesarzowej Katarzyny z prośbą o przyjęcie protektoratu nad Gruzją. Oczywiście, jak to było do przewidzenia, Rosja nie udzieliła Gruzji żadnej po-

mocy w walce z muzułmańskimi sąsiadami, traktatu zawartego z królami nie zachowała, i skorzystała z okazji aby podbić cały Kaukaz. Rosjanie niszczyli kulturę Gruzji, eksploatowali i rabowali jej bogactwa.

Z chwilą opanowania Gruzji, Rosja miała otwartą drogę do innych państw kaukaskich, zaczęły się systematyczne podboje i planowa kolonizacja północnego Kaukazu oraz Azerbajdżanu. Azerbajdżanie są potomkami ludów koczowniczych przeważnie ałtajsko - tureckiej racy, które od najdawniejszych czasów przychodziły z Azji do kraju Zakaukaskiego.

Azerbajdżanie są muzułmanami i dzięki swemu pochodzeniu i religji ciążyli ku Persji i Turcji nigdy nie czując zaufania do Rosji. To też zaborcza polityka rosyjska doprowadziła do krwawych walk. Armia rosyjska musiała po kolei zdobywać chanat po chanacie, a księżę Cycjanow przebiegły dyplomata, zręczny ujarzmiiciel Gruzji, został podstępnie zamordowany przez chana Bakińskiego. Niestety jednak te rozpaczliwe wysiłki nie obroniły chanatów i wkrótce zostały one wcielone do cesarstwa jako gubernje rosyjskie.

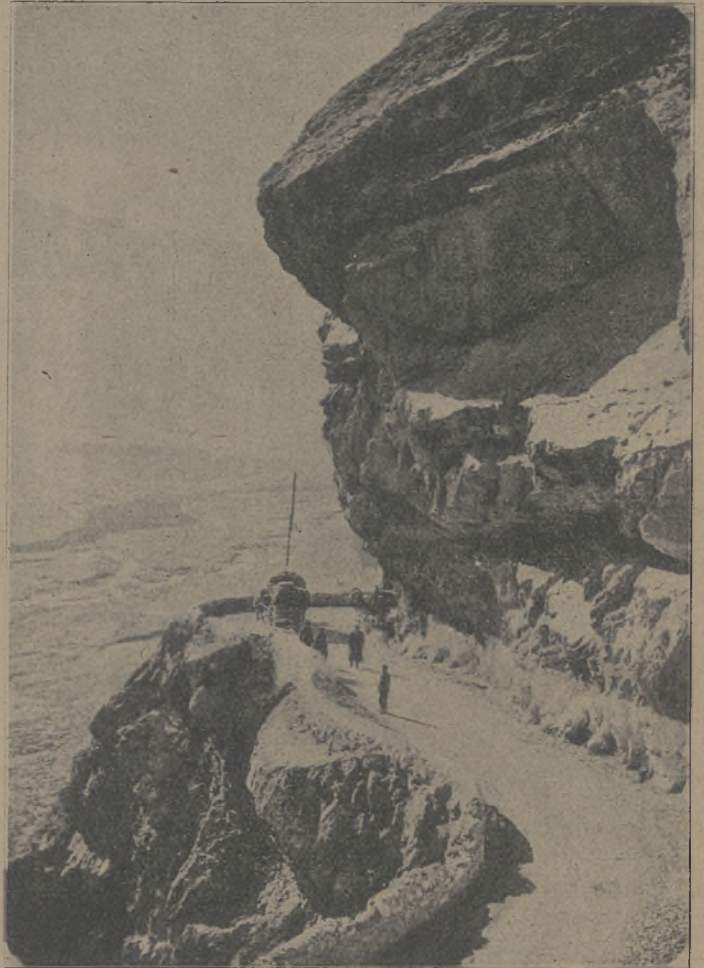
Północne stoki gór Wielkiego Kaukazu ciągnące się między morzem Kaspijskim a Czarnym zamieszkuje górale północnego Kaukazu. Obszar, który uważają górale za przynależne im terytorjum wynosi 134,800 km. kw. Liczba Górali wynosi w przybliżeniu 2.637,700.

Ludność ta dzieli się na: Czerkiesów, Osetyńców, Czeczeńców i Dagestańców. Wskutek położenia geograficznego ludy północnego Kaukazu były bardzo rozdrobnione na poszczególne gminy, każda z gmin stanowiła osobne, miniaturowe państwo, dzięki czemu ludy te nie wytworzyły własnej kultury ani wspólnego języka. Jednakże obyczaje i religja mahometańska wspólne tworzą, jak się okazało dość silną więź.

Rozwój imperjalizmu rosyjskiego datuje się od Iwana Groźnego, który buduje twierdzą na północnym Kaukazie: Tersk, odtąd rozpoczyna się systematyczna kolonizacja rosyjska na wschodzie. System ten doszedł do doskonałości za Katarzyny Wielkiej. Poza tem Rosjanie umiejętnie wykorzystywali wzajemne antagonizmy drobnych władców. Ustawicznie zajmowali żyzne ziemie, a mieszkańców zmuszali do chronienia się w góry. Nieszczęśliwi Górale bronili się po bohatersku, ale te rozproszone wysiłki nie mogły wyrządzić większych szkód armji rosyjskiej. Dopiero w czasie wojny rosyjsko-tureckiej rozprzestrzenia się „miuridyzm” t. j. rodzaj muzułmańskiego zakonu rycerskiego, mającego na celu walkę z niewiernymi. W 1810 Mahomed - Mułła, a potem Kazi - Mułła, duchowni muzułmańscy ogłosili świętą wojnę przeciwko niewiernym. Kazi-Mułła zginął na polu chwały broniąc się w twierdzy Gimrach obleganej przez Rosjan (1832). Następca jego Gamzat - Bek zostaje podstępnie zamordowany w 1834. Następuje pewien okres spokoju, w czasie którego Rosjanie rozgospodarowują się na dobre na wybrzeżu Czarnomorskiem. Jednakże ta cisza jest tylko zapowiedzią nowego powstania, które orga-

nizuje genialny Szamil. Był on pierwszym wodzem wszystkich plemion góralskich. Szamil piastował najwyższą godność duchowną i świecką: był „imaniem” północnego Kaukazu. Za jego czasów Górale mieli wspólny rząd parlamentarny z „imaniem” na czele.

Szamil z olbrzymim talentem i niezwykłym bohaterstwem prowadził zaciętą walkę, wkońcu jednak musiał ulec i w 1859 poddał się Rosjanom.



Wojenno - Gruzjińska droga, idąca przez góry Kaukazu

Ostateczne opanowanie Kaukazu przez Moskali nastąpiło w 1864 roku, po stłumieniu powstania polskiego 1863. Data 1864 jest wysoce znamioną. Im Polska stawała się słabszą tem więcej rosła moskiewska agresywność. Z chwilą gdy Polska ostatecznie upadła, a wewnętrzne ruchy wolnościowe zdawały się na zawsze stłumione Rosja mogła z całym spokojem ugruntować się na Kaukazie.

Do wybuchu wielkiej wojny Rosja w dalszym ciągu rusyfikowała cały Kaukaz niszcząc każdą akcję niepodległościową.

Przystępując do wielkiej wojny Moskale umieli rzucić hasło walki z Niemcami i spopularyzować je, tłumacząc narodom kaukaskim, że wszystkie nieszczęścia i uciski, które na nie spadły pochodzą od Niemców.



Wojenno - Gruzjińska droga, zbocze  
Doliny Bałtyńskiej

Pierwsze lata rewolucji 1917. przeszły narodom kaukaskim w gorączkowej pracy nad tworzeniem własnej państwowości. Narody te zamało jednolicie występowały w obronie swych granic, oraz na terenie międzynarodowym, co niewątpliwie zaszkodziło ich niepodległości.

Azerbajdżanie budując własne państwo ciążyli ku Turcji i mimowoli stali się obrońcami interesów

tureckich. Rozagitowani przez agentów tureckich prowadzili zacięte boje z Ormianami. Z czego skorzystali Turcy i Bolszewicy. Republika ich przetrwała od maja 1918 do kwietnia 1920. Bolszewicy opanowawszy Baku wkrótce zajęli cały Azerbajdżan.

W niecały rok potem po ciężkich walkach upadła młoda republika gruzińska, a rząd jej wyemigrował do Europy, aby na terenie międzynarodowym bronić interesów Gruzji.

Ciężki los spotkał również młode państwo góralskie. Wkrótce po ogłoszeniu republiki, wojska Denikina do końca roku 1919 okupowały północny Kaukaz. W roku 1920 wypędzili ich „Krasnoarmiejcy”, a wkrótce potem północny Kaukaz został wcielony do Z. S. R. R.

Nowa Rosja nie mniej imperjalistyczna od starej postępuje dawnymi szlakami wytkniętymi przez Katarzynę Wielką. Rozdrabnianie ludów kaukaskich, rozbudzanie antagonizmów i waśni, planowa kolonizacja, oto obraz polityki sowieckiej na Kaukazie. Górale jednak mimo ucisku, w ogniu nieustannej walki, wyrabiają w sobie świadomość, że są jednym narodem. Ale jeden mały naród choćby najdzielniejszy nie oprze się skutecznie tylu potężnym wrogom, dlatego emigranci kaukascy utworzyli wspólny związek mający na celu odzyskanie niepodległości i utworzenie konfederacji państw kaukaskich. Do związku tego weszli przedstawiciele: Gruzji, Górali i Azerbajdżanu. Fakt, że Kaukaz stanowi jeden organizm gospodarczy oraz świadomość zewnętrznego niebezpieczeństwa zmusza te narody do solidarnej pracy.

W tej chwili gdy czytamy o bezwzględnych metodach, które stosują Bolszewicy, sytuacja Kaukazu wydaje się beznadziejna, ale historia kryje w sobie wiele niespodzianek, wielkie organizmy państwowe rozsypują się jak domki z kart, a małe narody powstają z prochu zapomnienia.

Zofja Janowicz.

## WSPOMNIENIA Z ÓSMEJ KLASY

Wy, którzy dziś jesteście w ósmej klasie, zazdroście mi. Wam napewno nie pozwalają czytać na lekcjach „dodatków nadzwyczajnych” z prasy codziennej, a kiedy nie nauczycie się lekcji i chcecie czemś innym zająć nauczyciela (ten sposób chyba przetrwał?), to nie macie tylu aktualnych spraw do poruszenia. A mnie, kiedy byłam w ósmej klasie, wszystko się udawało. Były dni, kiedy nikt do mnie nie miał pretensji za nieodrobione lekcje, a choć tych dni było niewiele, to przecież w życiu uczniowskim nielada to gratka.

To jest jasna strona we wspomnieniach. W owych czasach mieliśmy ogromną pretensję do losu, że listopad 1918 roku zastał nas jeszcze na ławie szkolnej. Tak, to był pech.

Gdyśmy się zjechali do szkoły we wrześniu, wszystko zapowiadało się normalnie. Zaczynał się czwarty rok niemieckiej okupacji, sytuacja była coraz cięższa, ale jakoś nie było widać końca. Komunikaty niemieckie z zachodniego frontu głosiły niezmiennie, że „ofensywa koalicji trwa dalej” i poza tym nie wiedziało się nic. Wewnątrz kraju sytuacja polityczna była dość naprężona. Co tam sobie myśleli wielcy politycy — nie wiem. My młodzież wiedzieliśmy tylko coś niecoś z tego, co się działo w P. O. W. (Polskiej Organizacji Wojskowej). Okrutny regulamin P. O. W. nie pozwalał przyjmować młodzieży żeńskiej poniżej lat dziewiętnastu, więc też nie pozostawało nam nic innego, jak noszenie paczek, bieganie z wiadomościami o „wsypach” ja-

kiegoś lokalu peowiackiego i t. d. Takie nieletnie sympatyczki były nawet nieraz przydatne. W piwnicy pod ziemniakami przechowywałam broń kilku legionistów, a już od roku spoczywała w tej samej piwnicy paczka papierów, zawierająca podobno korespondencję, kierowaną do Komendanta, do Rady Stanu. Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo byłam z tej paczki dumna... Ale nawet tego roznoszenia listów było już jakoś niewiele i wdychało się do jakiejś zmiany. Starsi z P. O. W. byli coraz bardziej tajemniczy, podobno rozprawiano się po cichu ze szpicłami niemieckimi, podobno coś przygotowywano...

Ktoś, kto będzie kiedyś pisał historję P. O. W. wyjaśni może to, dlaczego Niemcy, mając już tak dawno adresy wszystkich niemal peowiaków, tak niewielu tylko aresztowali. Przecież ściany w lokalu Niemieckiego Prezydjum Policji były dosłownie „wytapetowane” fotografiami peowiaków. Ale Niemcy nie wiedzieli jednego — nie wiedzieli nawet w przybliżeniu, ilu ludzi może liczyć to zniechędzone „peowe”. Ponieważ każdy z peowiaków miał po kilka pseudonimów i nieraz się fotografował, więc też Niemcy z jednego człowieka robili sobie kilku i wten sposób szeregi P. O. W. urastały w ich pojęciu w nieskończoność. Czy bali się ich wszystkich poaresztować, czy też czekali jeszcze na nowe dane i śledząc znanych sobie chcieli się dowiedzieć o innych — nie wiem; pozostaje fakt, że jednak P. O. W. robiło coraz niebezpieczniejszą robotę.

Mijały dni wczesnej i pięknej jesieni, gdy oto 7 października gazety przyniosły wieść radosną: Niemcy żądają pokoju. Niemcy zwrócili się do prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona z prośbą o pośrednictwo w sprawie pokoju, akceptując ogłoszone przed kilku miesiącami orędzie Wilsona w sprawie pokoju. Zapanowała nieopisana radość. Przecież trzynastym punktem tego orędzia było zagwarantowanie powstania państwa polskiego. Czuliśmy, że już teraz wypadki pójdą szybko. Powstanie państwo polskie stało się pewnością. (Dzisiaj już wydaje mi się to dziwne, że kiedyś mogło nie być państwa polskiego!...).

Zaraz następnego dnia Rada Regencyjna wysłała do Rządu Niemieckiego prośbę, aby „wobec zbliżania się doniosłych chwil” uwolniono z Magdeburga Józefa Piłsudskiego. Nie mieliśmy, my młodzież zwłaszcza, wielkiego przekonania do Rady Regencyjnej, jako powołanej przez okupantów, bez pytania się społeczeństwa o opinię. Nikt nie miał nic przeciwko osobom arcybiskupa Kakowskiego, ks. Lubomirskiego i Ostrowskiego, ale niepodległościowo nastrojone sfery domagały się Sejmu i Rządu, powoływanego przez ten sejm, a nie przez wrogich okupantów. Jednak tem swoim posunięciem Rada Regencyjna zyskała w naszych oczach zupełne uznanie. Tak, tak, byliśmy wtedy tak bardzo rozpolitykowani, że musieliśmy mieć swój sąd o każdej sprawie.

Niestety Niemcy nie spieszyli się jakoś z uwolnieniem Komendanta. Wszystko wiedzący peowiaczy twierdzili wprawdzie napewno, że już jest uwol-

niony, że już jedzie i tłumy zbierały się codzień przy dworcu, ale Komendant Piłsudski nie przyjeżdżał.

Dopiero po trzech tygodniach przyszła od Niemców obszerna odpowiedź, że wobec wrogiego stosunku Józefa Piłsudskiego do Państw Sprzymierzonych (Niemcy i Austria), nie uwolnią go, o ile tego stosunku nie zmieni. Wyczytaliśmy tę wiadomość z rozpaczą — wiadomo przecież, że Dziadek nie zmieni swego stosunku do Niemców, była to więc odmowa. W odpowiedzi na to, ówczesny prezes ministrów, znany działacz prawniczy, Świeżyński, wysłał depezę, że powrót Piłsudskiego jest jedynym warunkiem spokoju w kraju.

A tymczasem w całej Polsce już wrzało. Gazety przynosiły wieści ze wszystkich dzielnic Polski o konsolidowaniu się stronnictw politycznych, o uchwałach wieców, domagających się wskrzeszenia Polski w jej historycznych granicach. Niemcy jednak zachowywali się tak, jakgdyby nie było zawieszenia broni, a oni nie byli poddającym się państwem. Odpowiedzią na nasze manifestacje, były ciężkie represje, zwłaszcza w Wilnie i miastach kresowych. Zresztą i w Warszawie potłukli porządnie kolbami karabinowemi manifestujących akademików. Wszystko to dowodziło ich obłudnej polityki — oficjalnie godzili się na orędzie Wilsona, społeczeństwu polskiemu mówili jednak, że przecież orędzie nie przesądza granic przyszłej Polski, to też na manifestacje, domagające się połączenia wszystkich dzielnic Polski, nie mogą pozwolić. Ta obłuda oburzała nas do żywego, ale powoli przestawaliśmy się liczyć z Niemcami. Codzień niemal zjawiało się jakieś rozporządzenie Rady Regencyjnej, która coraz więcej władzy zgarniała w swoje ręce.

Przedewszystkiem zmieniono rotę przysięgi dla t. zw. Polskiego Korpusu Posiłkowego, każąc im przysięgać na wierność Ojczyźnie, Państwu Polskiemu i Radzie Regencyjnej, jako tymczasowej władzy zwierzchniej. Jednocześnie gubernator niemiecki, Beseler, dotychczasowy dowódca Korpusu, składa swą władzę w ręce Rady Regencyjnej. (Korpus posiłkowy został utworzony przez Niemców po rozwiązaniu Legionów w 1917 r.). W tym czasie przychodzą również wieści, że Rydz Śmigły i inni dawni pułkownicy Legionów tworzą w Małopolsce nowe wojsko polskie; depeze zaś donoszą, że Anglja uznaje armję polską za jednostkę sprzymierzoną.

Ale co nas w tem wszystkim najbardziej bolało, to, że musimy siedzieć i uczyć się, a państwo powstaje bez naszego udziału. I nawet nie było dla nas nic do roboty, nikt jeszcze nie wiedział, jak też nastąpi to wyzwolenie państwa. Powtarzaliśmy tylko sobie pocichu słowa Wyspiańskiego, że „listopad to dla Polski niebezpieczna pora” i czekaliśmy listopada.

I oto pierwszego listopada zawrzało na ulicach Warszawy. Dodatki nadzwyczajne rozniosły wieść, że Kraków wolny. Ludzie płaczą ze wzruszenia. Iluż to nie spodziewało się dożyć tej chwili, że choć jedno miasto wolne jest od najeźdźców. To był pierwszy promień słońca w tym pamiętnym listopadzie.

Niestety już następny dzień przyniósł smutne wieści: pułki ruskie atakują Lwów i Przemyśl, a tam przecież tylko nieliczne garstki polskiego wojska. Wieść ta odrazu poruszyła młodzież akademicką. Pamiętam, jak właśnie tego dnia zebraliśmy się w Towarzystwie Krajoznawczem na posiedzeniu naszego Koła Młodzieży. Wierzyć mi się dziś nie chce, że mieliśmy wtedy „głowę” do robienia zwykłych zebrań. Gdyśmy siedzieli w sali, przyszli nasi starsi koledzy, akademicy. Przyszli się pożegnać — jada pod Lwów. Niech inni robią wiece i czekają uchwał, oni jada odrazu. Wtedy poszliśmy z jednym kolegą do nam tylko wiadomej skrytki i wydobyliśmy „nasz” karabin. Jakim sposobem karabin ten, jeszcze w początkach wojny znalazł się między storożytną bronią w Muzeum Tow. Krajoznawczego — nie wiemy. Podobno „podrzucił” go ktoś tchórzliwy. Karabin ten, wykryty przez nas w czasie przeprowadzki Towarzystwa, zniknął oczywiście dzięki nam ze zbiorów muzealnych, a teraz triumfalnie wręczyliśmy go akademikom. Nasz karabin!

7 listopada odbył się wiec młodzieży akademickiej. Uchwalono zamknięcie wyższych uczelni — młodzież idzie do wojska. A my...

Skoro tylko z pod stosu ziemniaków wygrzebałam broń — prawi właściciele zgłosili się po nią nie zwlekając.

Wypadki szły w tempie kinematograficznem. 9 listopada nastąpił rozejm pomiędzy Koalicją a Niemcami. Tam zaczynał się pokój, u nas zaczynała się nowa wojna, z pod Lwowa przychodziły groźne wieści. Na niedzielę dn. 10 listopada, była naznaczona zbiórka wszystkich drużyn harcerskich. Rano niecierpliwie schwycałam gazety. Nareszcie! Depesze donoszą, że w Niemczech wybuchła rewolucja, cesarz Wilhelm pod naciskiem socjalistów abdykuje, a generał - gubernatorstwo warszawskie zostaje zwinięte. Z myślą, że nie zobaczę już Niemców na ulicy, wybiegłam z domu.

Nic nie rozumiem. Na ulicach wszystko po dawnemu. Niemcy chodzą jak zwykle — tylko przechodnie mają już inne miny — coś się zmieniło.

Wtem mija mnie auto — stoję na ulicy jak wryta, a po chwili chcę głośno krzyknąć z radości — w aucie jechał Komendant Piłsudski, nie mogło mi się zdawać. Pędzę na zbiórkę, podzielić się coperdziej tą radosną wieścią. Na zbiórce ogłoszono mobilizację drużyn do służby pomocniczej dla wojska. Nareszcie.

Gdy wracałam do domu, przez Aleje Jerozolimskie szedł jakiś pochód. Nie pamiętam już dziś jaki, pamiętam tylko polskie pieśni i czerwone sztandary. Wtem rozległy się strzały. Popłoch, zgiełk, ludzie rzucili się do bram, słysząc jęki. To niemieccy oficerowie strzelili do manifestantów. Kiedyż więc będziemy wolni?

Nazajutrz, wcześniej niż zwykle wybiegłam do szkoły. Co też dzieje się na mieście?

Niema Niemców, na rogach ulic stoi milicja obywatelska — żołnierzy nie widać. Wpadam na znajomego peowiaka. Dowiaduję się od niego o wszystkim. Komendant cały dzień i całą noc pracował, odbywał narady, wydawał rozkazy. Dziś peowiacy rozbrajają Niemców, zajmują rządowe gmachy.

Koło dworca na Chmielnej widzę zabawny cbrazek — grupka ludzi: jakiś peowiak, paru uliczników i parę przekupek dobijają się do bramy, za którą są jeszcze Niemcy. Usiłują ją rozkruszyć bagnętami. Ktoś wyłamuje deski, wszyscy klną i gwizdzą, hałas nie do opisania. Ale gdy wracałam po

## Czerwona Parada

Głos zdarty wieloletnią służbą, górował nad łoskotem butów żołnierskich. Stały schlastane deszczem oddziały.

— Stój! równaj się!!!...

Trzasnęły kolby oparte u nogi i wyciągnęły się szeregi ludzi, znaczone białymi krzyżami pasów napierskich. Z daszków sypią się bezszelestnie duże krople deszczu i stukają kopyta koni odjeżdżających sztabowców. Krople wsiąkają w nabite deszczem płaszczki piechurów.

W stronę Krakowskiego Przedmieścia odjeżdżają podolskie kirasjery.

W szwadronach rozlega się ostry skowyt trąbki.

Rozrzucana kopytami woda, zalewała buty sterczącej w szeregach piechoty. W deszczowej młacie majaczą znajome gęby podoficerów linjowych. Korsakow, Łarjonow i Bilibin kołyszą się w siodłach. Ciężkie, kirasjerskie hełmy podpięte rzemieniem, dodają młodym Moskalom powagi. Dzwonią szable sołdackie i łoskot kopyt przypomina baby, trzepiące kijami bieliznę.

Rozległ się donośny głos i ruszyły długie kolumny wołyńców i kompanje grenadjerskie polskich pułków linjowych. Setki żołnierskich nóg, tłuką o bruk podkutemi butami.

Uzbromieni ludzie idą w milczeniu i w uszy wżera się jednostajny trzask rządowych butów.

Krucho szeleści mokry żwir na dziedzińcu koszarowym i feldfeble wołyńcy poczynają wymyślać żołnierzom.

Z sąsiedniej sali dolatywało szurganie żołnierskich butów. To Helmer uczy grenadjerów.

Sierżant Sypniewski oparł się wygodnie o parapet okna i liczył krople, gęsto spływające krętą linją po szybach. Czas szybko ucieka.

...Kiedyś. Wieczorami gwizdały wiatry w gęstwie drzew otaczających stary dom. Rozległe, płaskie równiny wcięte w las. Piaszczyste, srebrne osypiska, osypane rdzawo-liljowym wrzosem i kępami strzelistych jałowców. Wąskie, namokłe drogi polne, otoczone zmierzwioną wierzbina. Stada żrebacków rozbieganych w bezmyślnym galopie po łące i cichy syk wiatru przy stertach. Zagubione wśród zielska i ostów ruiny karczmy przydrożnej, którą Moskale w dziewięćdziesiątym czwartym roku spalili. Pierwsze kochanie... Sypniewski był tam raz



lekcjach, przy bramie stał już student z karabinem. a rozbrojeni Niemcy, z mocno głupimi minami siedzieli w oknie.

W szkole niema mowy o lekcjach. Przecież nasza klasa ma okna od Nowego Świata — siedzimy w nich bez przerwy. Nawet na lekcjach pozwalają nam nauczyciele trzymać warty w oknach — nikt nie wyklada tego dnia. Ba, nauczyciel polskiego każe mi nawet czytać głośno dodatek nadzwyczajny, prosząc tylko uprzejmie, abyśmy usiadły na ławkach, zamiast stać na nich. Nauczycielka niemieckiego próbuje wprawdzie mówić coś o maturze, ale to nikogo dziś nie obchodzi. Oczywiście tylko nie wypuszczają nas wcześniej ze szkoły, trzeba odsiedzieć sześć godzin, choć nauczycielom równie chyba jak nam pilno na miasto.

Na ulicach ciągle ruch. Jeżdżą auta z czerwonymi flagami, w jednym z nich mignęła mi twarz Sosnkowskiego... Niemcy chodzą już bez broni, zato niejedyn uczeń paraduje z większym od niego karabinem. Psiakość, szczęśliwi ci chłopcy! Nie brak i momentów humorystycznych. Sama widziałam, jak do wysokiego, barczystego Niemca podszedł mały uczeń z groźnymi słowami: „oddaj karabin”. Niemiec oddaje, bo woli wracać do swej ojczyzny, niż nosić ten karabin nie wiadomo poco. Uczniak bierze ciężką broń, waha się chwilę i powiada: „Ale pokaż mi, jak się z tem obchodzi”.

I tak minął dzień jedenastego listopada, pamiętny dzień w życiu narodu. Gdy dziś sięgam myślą do tych chwil, nie mogę o nich myśleć kategorjami dorosłego człowieka. Wydaje mi się, że znów jestem uczennicą ósmej klasy i przeżywam te wzruszające chwile, swym młodzieńczym umysłem i młodzień-

czem sercem. I może dlatego, że wtedy wydawało nam się, iż niema dla nas nic niemożliwego, może dlatego, gdy dziś myślę o pracy dla państwa, to wydaje mi się jak wtedy, że niema nic niemożliwego i na wszystko starczy sił człowieka.

I kiedy już „dorosłemi kategorjami” spojrzę wstecz na całe dziesięciolecie, kiedy uprzytomnię sobie wielkie wysiłki rządu i pomyślę sobie, ile też potrafiliśmy w Polsce zrobić, to myślę, że miałam rację, iż siły człowieka są niezmierzone.

W. Prażmowska.

## Kilka słów pod adresem „POKOLENIA CZYNU”

Żyję i pracuję wśród Młodych — kocham ich i bacznie obserwuję rozwój i kierunek ich zainteresowań i poczynań. Niektóre przejmują mię szczerą radością — zaniedbywanie innych głęboko zasmuca.

Wierząc, że pismo, poświęcone Młodym, a noszące znamienne nazwę „Sternik”, chce istotnie stać się im sterem i busołą w życiu, pragnę podzielić się z przewodnikami „Pokolenia Czynu” spostrzeżeniem, które może posłużyć za temat do dyskusji i wniosków.

A więc: Młodzież nasza, zajęta obecnie słuszną i chwalebą troską o usprawnienie swego ciała, o jego zdrowie i tężyznę, zaniedbuje pracy nad usprawnieniem ducha, spotęgowaniem woli i sił wewnętrznych; nie dąży do wytworzenia w sobie rycerskich cnót, niezbędnego odpowiednika rycerskiej postawy. Wszak „Pokolenie Czynu” musi ten Czyn wykrzesać

przypadkiem, w czasie ostatnich manewrów. Osypani pyłem drogowym, leżeli pokotem na skraju drogi polnej, w cieniu pierzastych wierz. Zdawało się, że mundur, broń i pasy z jednego wykonano metra. Brali wodę w obejściu u studni, gdzie siadywał kiedyś wsluchany w siąpienie strudzonych koni u koryta, zawleczonego siwozielonym porostem. Brygada cofała się ciągle pod naporem urojonego przeciwnika. Brnęli przez rude skiby, mgłą srebrną o zachodzie powleczone. Strzępy mgieł leżały na słońcu, zatopionem w jałowcach i zielonych chojach. Biegli naprzelaj zapadając w grunt. W gęstej szarocie wieczoru majaczyły białe portki i pasy piechurów. Gęsto przyskały strzały i śmierział dym prochowy. Rzucali się spłoszone hukiem konie oficerów i chrzęściły pałasze. Zawrócili w olszynę, syjąc gwałtownym ogniem w bagna, usiane kępami zawiedzionych traw i czerwonożółtą wodą.

Puk - puk - puk - puk....

Z rozkołysanego wiatrem zagajnika, wydostali się na drogę.

Ponad kaszkietami wyrosła sztywna linja luf i rysowały się wyraźnie długie, trójgraniaste bagnety. Błady odbłysek wschodzącego księżyca, migotał na ładownicach i metalowych orłach, złocąc je syp-

kiem, miałkiem światłem. Okute buty ślizgały się ciągle na wilgotnych korzeniach, wystających z piasku. Szli i liczyli kamienie drogowe, spryskane wapnem.

Dzisiaj. Siedem lat minęło od chwili, kiedy wpisany został do księgi rodowodowej pułku, jako prosty żołnierz. Ojciec padł w Hiszpanji, gdzie ludzie wyrzynali się wzajemnie bez litości. Zginął wśród skalnych rumowisk, kiedy ucierali się w pojedynkę z hiszpańskimi jeźdźcami. Nie wolno mu lekceważyć służby, która jest warunkiem dalszego istnienia. W przyszłym roku ma być przeniesiony do szkoły podchorążych piechoty. Ciężka służba w pułku, ale o tem gadać nie wolno. Wojsko polskie w ręku narwanego, szalonego Moskala, który znieważa oficerów i żołnierzy. Mniejsza o to. Kiedyś nadejdzie kres. Gdzie większy ucisk, tam krwawy będzie także rozrachunek kulami. Taka już ludzka natura...

Sypniewski minął izbę, gdzie żołnierze czyścili karabiny i metalowe orły na kaszkietach i polazł do swej kwatery, aby sporządzić codzienny raport kompanijny.

Z przyzwyczajenia wystukał pustą fajkę o obcas, nabił ją świeżym tytoniem i począł wypełniać arkusz szybkim, nerwowem pismem. Nie lubił tej ro-

przedewszystkiem z Ducha — jakże to uczyni, skoro „ciało jest ochotne, ale duch mdły“?

Niezdolne i szkodliwe wady starego pokolenia są nadal pielęgnowane przez pokolenie Młodych, a żaden ich związek, żadna organizacja nie podejmuje z nimi walki, dającej jakikolwiek wynik. (Harcerstwo nie dało dotąd żadnego).

Mam tu na myśli wady najpowszechniejsze, najdokuczliwsze, zgubne w skutkach, a najpobłaźliwiej przez nasz ogół traktowane — **niepunktualność i nieobowiązkowość.**

Iluż strat moralnych i materialnych są one powodem! Każdy to sobie uświadamia, każdy ubolewa, a prawie nikt nie potrafi w zasięgu swej działalności wpłynąć na uzdrowienie tej choroby polskiego społeczeństwa.

Na stare pokolenie niema tu co liczyć. Trudno! — ojciec, spóźniający się sam do biura, lub na posiedzenia, matka, spóźniająca się ze śniadaniem dla dziecka, które spieszy do szkoły i za jej opóźnienie słyszy w tej szkole ostre wymówki od również często spóźniającego się wychowawcy, nie zmieniają stanu rzeczy, nie nauczą młodego pokolenia punktualności i poczucia obowiązku.

Zrozumienie potrzeby wyplenienia w sobie tych wad musi powstać w duszy Młodych, musi być ich samorządnym odruchem dla ułatwienia i usprawnienia całokształtu życia, w które wchodzi.

Młodzi powinni sami w tym celu zakładać specjalne kółka, zawiązywać bractwa, wciągać w tę akcję uczniowskie samorządy szkolne i wogóle wszelkie związki i organizacje młodzieży na terenie całego kraju. Opornych, nie poddających się rygorowi obowiązujących przepisów, wykluczać ze zrzeszeń młodzieży i bojkotować w towarzyskim życiu.

boty. Tarł zębami kościany trzonek fajki i wypuszczał kłęby szarego dymu.

— Do djabła...

Przez uchylone drzwi, dolatywał głośny gwar żołnierskich głosów i szczęk broni. Okute kolby opadają z hukiem na podłogę. Helmer uczy grenadierów.

— Na rramiiee broń!!!...

Bezmyślnie stukał palcami po starannie wygładzonym stole. — Marja powiedziała mu wczoraj, że jest tylko jednym ze stu kilkudziesięciu jej znajomych. Niczem więcej. Roześmiał się głośno. Wreszcie cisnął fajkę i począł pisać.

— Służbowy! raport dla adjutanta.

Białe naramienniki rozciągnęły się na roślących, chłopskich ramionach. Sypniewski miał wrażenie, że prysną guziki trzymające białe skrawki sukna. Żołnierz zabrał papiery i zamknął drzwi, oznaczone numerem kompanji.

Władek wypił chłodną kawę i otworzył okno.

Deszcz przestał padać i na murze leżały wiotkie, zmoczone gałęzie. We drzwiach stanął elegancki podoficer Kownacki.

— Wychodzisz?

— Tak.

„Karność społeczna“, o której wspomina autor artykułu „Pokolenie Czynu“, jest nie do pomyslenia tak długo, jak długo wady, o których mowa, tkwić będą w społecznym organizmie Polski.

Z. Kopczyńska

## MĘCZENNICZY NAUKI

Starożytny historyk grecki Tukidid, opisując straszną epidemię dżumy, która zdziesiątkowała Ateny w r. 430 przed Chr. podkreśla, iż „w liczbie pierwszych ofiar byli lekarze“. Słowa te przypominają się mimowoli gdy czyta się o bohaterskiej śmierci francuskiego lekarza Marie, który zginął przy badaniu nie mniej strasznej od dżumy, trucizny mięsnej. Cała różnica polega na tem, iż lekarze giną nie tylko w czasie epidemji, lecz i wśród całkowicie „pokojowych“ warunków, gdy w swych laboratorjach i instytutach, pracują nad odkryciem zarazków chorób, dziesiątkujących ludzkość.

W omawianym wypadku chodziło o zbadania tajemniczych przypadków zatrucia mięsem, rybą lub konserwami, które przy powierzchownem obejrzeniu wydawały się zupełnie dobre, a jednak powodowały śmierć konsumenta. Po długich i zmudnych doświadczeniach Marie odkrył przyczynę tego zjawiska. Okazało się, iż powoduje je osobliwy zarazek, rozprzestrzeniający się w powietrzu i znajdujący dogodne warunki rozwoju w mięsie, rybach i innych białkowych substancjach jeszcze niezupełnie popsutych, lecz już nieświeżych. Doktor Marie zaobserwował, iż jad tego mikroba, po ogrzaniu substancji, w której się znajduje powyżej 85° stopni — znikła bez śladu. Marie nie zadowolił się tym rezultatem i zaczął szukać surowicy, która by paraliżowała działalność wykrytej trucizny. Doświadczenia te były bardzo niebezpieczne, i mimo, iż Marie pracował w masce ochronnej, zakończyły się tragicznie. Dzielnym lekarzem

— Mam pakę fajkowego tytoniu.

— Nie kładź na oknie, bo zawilgnie.

— Muszę wypruć z płaszczu ładunki. Wpadniesz do knajpy?

— Do djabła... trzeba roznieść ładunki żołnierzom w koszarach.

— Dobra.

— Fajki leżą na oknie.

— Uważaj, bo szasery mają rozjazd w mieście. Dranie robią umyślnie szykany piechocie.

Wiatr szarpał lepką, szarą mgłę i uderzał w twarde, nasiąknięte wilgocią sukno płaszczu.

Sypniewski wstąpił do szynku, gdzie przesiadywali często w wolnych chwilach. Dym szczelnie wypełniał izbę, gryzł w oczy i tamował oddech. Pijani Moskale grali w kości i klęli się wzajemnie zawzięcie. Jakiś ułan w rozpiętym mundurze, starannie mieszał kości w drewnianym pudełku.

— Stoj!

— Poszły won...

Podoficer Bilibin strącił stojące przed nim butelki i mocnym ciosem wciął szablę w twarde, dębowy stół.

— Zdrawstwujcie rebiata!

Trzaskali swemi podkutemi butami, w które na-

zaraził się — trucizna przedostała mu się do oka — i umarł w strasznych męczarniach. Jednak praca rozpoczęta przez doktora Marie będzie nadal kontynuowana: koledzy jego z Instytutu Pasteura czynić będą dalsze doświadczenia, dobrze zdając sobie sprawę na co się narażają.

Inny francuski uczoney dr. Menard, badając roentgenowskie promienie stracił stopniowo wszystkie palce jednej ręki, którą wreszcie trzeba było amputować. Menard kontynuował jednak swą pracę tak długo, dopóki nie amputowali mu i drugiej ręki. Umarł wkrótce jak wartownik na swym naukowym posterunku. Taki sam los przypadł niedawno w udziale niemieckiemu roentgenologowi Doornowi.

Niemniejsze męstwo wykazują i ci lekarze i uczeni, którzy, przeprowadzając doświadczenia na sobie samych. Kieruje nimi wielka wiara w słuszność wygłoszonych teoryj. Takim był np. profesor Petenkoffer, który nie wierzył, by cholera powodowała osobliwe „przecinki”. Petenkoffer pokłócił się ze znakomitym Kochem, odkrywcą mikrobów cholery i zaproponował Kochowi, by przysłał mu te bakcyle. „Dowiodę sam” — pisał zagniewany tajny radca — „iż są one całkowicie nieszkodliwe”. Koch przysłał tutkę z bakcylami w takiej ilości, iż starczyłyby na wyekspedjowanie na tamten świat całego pułku żołnierzy. Ku przerażeniu obecnych Petenkoffer wypił cały roztwór z bilionami mikrobów, poglądził się po brodzie i powiedział: „A no zobaczymy czy zachoruję na cholera”. Tajny radca nie zachorował, ani nawet nie zepsuł sobie żołądka. Sam o tem nie wiedząc, dowiódł ciekawego faktu, iż bakcyle cholery mogą przebywać w człowieku i nie powodować choroby. Dlaczego jedni ludzie są predysponowani do zapadania na cholera a inni nie — dotąd pozostało niewyjaśnione. Inni uczeni, którzy powtórzyli szalone doświadczenia Petenkoffera, zapłacili za nie życiem.

Niemniej tragiczny los spotkał praskiego uczonego d-ra Choraka, który zastrzyknął sobie roztwór z czystymi kulturami tuberkulozy. Odpowiednią część skóry poddał dr. Chorak mikroskopijnemu badaniu i zrobił bardzo ważne odkrycie.

D-rowi Chorakowi przypadłaby w udziale światowa sława, gdyby mógł kontynuować swą pracę — lecz niestety zdążył on zaledwie przygotować sumaryczne sprawozdanie ze swych eksperymentów. Tuż przed ukazaniem się książki dr. Chorak umarł na tuberkulozę.

We wszystkich niemal stolicach Europy istnieją pomniki nieznanego żołnierza, lecz pomnik nieznanego uczonego, który padł ofiarą wielkiej wojny z przyrodą, wojny, prowadzonej z wielką miłością ku człowiekowi i prawdzie naukowej, — nie istnieje dotąd nigdzie. Ci bohaterowie nauki pozostają rzeczywistością nieznanymi; każdy z nas bez trudu mógłby wyliczyć dziesiątki nazwisk różnych generałów, którzy zginęli na polu walki, lecz kto zna nazwiska tych 22 lekarzy, którzy zginęli w czasie epidemji żółtej febrzy w Senegombji? Dwudziestu siedmiu lekarzy wysłano na front walki z tą chorobą, lecz tylko pięciu pozostało przy życiu; takiego procentu śmiertelności nie zanotowano nawet w okresie najstraszniejszych walk na zachodnim froncie.

Walka z żółtą febrą, którą powoduje piękny czarnosrebrzysty owad, trwa i wymaga coraz to nowych ofiar. W roku 1925 udała się do Nigerji specjalna komisja, subsydjowana przez Rockefellera, celem zbadania tej strasznej choroby, będącej biczem wszystkich obszarów tropikalnych. Po dwu latach do komisji przyłączył się świetny uczoney irlandzki Hadrian Stoks, który, po kilkomiesięcznej pracy umarł na żółtą febrę. Śmierć Stoksa jest szczególnie tragiczną z tego względu, iż uniósł ze sobą do mogiły uczynione przezeń odkrycie, które ostatecznie ustanawiało przyczyny i metody leczenia żółtej febrzy. W ostatnim swym liście pisał on: „Złowiłem już tę rybkę na haczyk — teraz muszę ją tylko wyciągnąć na brzeg. Należy tylko zachować ostrożność — i wówczas jest to tylko kwestją czasu. Być może upłyną jeszcze lata — lecz zwycięstwo jest nasze”. Los okazał się bezlitosnym — i ryba wciągnęła w głąb młodego uczonego. Towarzysz Stoksa, japończyk Noguszi, jeden z najwybitniejszych patologów naszych czasów, którego

bito tyle gwoździ, ile ich wlaźło w twardą powierzchnię skóry.

Sypniewski doszedł do Wisły i zawrócił do koszar.

Postrzępione chmury szły nisko nad wodą, zaciągając niebo beznadziejną, ołowianą barwą. Szarota chmur opadła na przybrzeżne piaski, wyprane przez wodę.

W izbie drugiej kompanji, pachniało chlebem i kiszoną kapustą.

Czy będzie kiedy w Zawadach? Piękna pani Leda, czyta pewnie w tej chwili romans francuski w gabinecie Jerzego. Jasne, złote włosy opadają niesfornie na oczy. Staw przebija przez wiotkie rzęsy krzewów. W wodzie odbijają się ostre kolory zachodu, żółte, zmierzwione liście i białe, łamane kolumny. Na kwadratowych grządkach sterczą rude kępy suchych astrów i ukośnic. Dawno nie widział swego starszego brata. Wszystkiemu winna Leda.

Na niebo wystrzeliła jasna łuna pożaru i gruchnęła gdzieś woddali salwa.

— Solec się pali!

Wilgotne powietrze przerywał tępy łoskot bębnow i dźwięczny, miarowy odgłos trąbki sygnałowej. Z miasta doleciał sypki trzask wystrzałów.

— Uwaaaaga!!!

— Przerzuc strzemię psiakrew!

— Stoj!

— Durny koń...

Dobosze rosyjscy poczęli szybko odbijać zbór. Wypadały gromady spłoszonych wołyńców i głucho, bez przerwy dudniły schody pod butami biegnących żołnierzy.

— Równaj się!!...

Wołyńcy szarpali się z rzucającymi się końmi oficerów.

— Uszoł sukinsyn!

— Czort jewo pabieri...

— Na rrrramiee broń!!...

Krótkim galopem wpadł na dziedziniec łącznik z Belwederu.

— Kierunek na prawo!

Maszerującym kompanjom zagroził drogę podchorąży na koniu.

— Pod arsenał!!!

— Poprzed kompanje czwartego i piątego pułku linowego...

Tadeusz Zambrzycki.

C. d. n.

imię wymawiano ze czcią we wszystkich laboratorjach badawczych, również stał się ofiarą żółtej febry. Angielski lekarz Yong, pragnąc zbadać tajemnicę przeklętej choroby, wziął się do badania ciała Noguszi, lecz i jego wkrótce spotkał los uczonego japończyka. Pozostali — prowadzą prace dalej.

Pracownikom naukowym szczególnie w dziedzinie medycyny grożą nie tylko siły rozgniewanej przyrody, lecz często, bardzo często stają się oni ofiarami ludzkiej głupoty, zazdrości i nieuctwa. Być pionierem nauki, odkrywcą nowych dróg, jest rzeczą nie tylko niełatwą, lecz często nawet niebezpieczną. Można wymienić dziesiątki imion wielkich uczonych, niezrozumianych, ośmieszonych i prześladowanych przez swych współczesnych. Wielkiego przyrodnika, lekarza i filozofa 16-go wieku Paracelsa okrzyknięto szarlatanem i uśmiercono. Dopiero teraz oceniono w należyty sposób zasługi tego Kolumba medycyny owych czasów. Niemniejszym prześladowaniom ze strony le-

karzy podlegał znakomity Harwey, odkrywca krwioobiegu, założyciel współczesnej fizjologii. Uratowała go ta okoliczność, iż był on nadwornym lekarzem króla Karola I. W końcu 18-go wieku, w Wiedniu, dr. Mesmer wyleczył wielu chorych za pomocą osobliwych ruchów rękoma. Austriacy lekarze okrzyknęli go szarlatanem i wymogli usunięcie go ze szpitala, w którym pracował. Tak samo przyjęli go lekarze francuscy i paryska Akademia Nauk, gdy przeniósł się do Paryża. Ośmieszony i rozgoryczony lekarz wyjechał do zapadłej prowincji i tam spędził ostatnie swe lata. Dopiero po 50 latach metoda Mesmera odrodziła się pod nazwą hipnotyzmu. Dziś hipnotyzm uznają wszyscy, zastosowują go najwybitniejsi specjaliści, m. in. przeprowadza się nawet operacje pod hypnozą bez uśpienia — lecz jeszcze zupełnie niedawno wielki Virchow twierdził, iż hipnotyzm jest zwykłym oszustwem.

L. Ron.

## NIEZWYKŁY WYWIAD

(feljeton kinowy)

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Redakcji naszej udało się uzyskać arcyciekawy wywiad u pewnej osobistości, która wiele bywa w kinie, a nawet usiłuje twierdzić, że interesuje się sprawami dziesiątej muzy, a co ważniejsze podobno nawet zna się na nich.

Poniżej podajemy dokładną treść wywiadu.

Zastałem naszego przemiłego rozmówcę siedzącego z wielce skupionym wyrazem twarzy przed lustrem.

— Moje uszanowanie panu.

— Dzień dobry kolego dziennikarzu. Z czemże bogi prowadzą tak wcześnie. (Była właśnie godz. punkt 12).

— Chciałbym prosić pana o wywiad dotyczący kina.

— Hm, niech i tak będzie. Służę.

— Przedewszystkiem pozwoli pan, że zapytam jakimi zagadnieniami był pan zajęty, kiedy przyszedłem. Widzę bowiem, że dotąd jeszcze jest pan poważnie zamyślony.

— W rzeczywistości, panie kolego, jednak to sprawy prywatne nie dotyczące kina.

— Jeśli nie będzie to niedyskrecją pragnąłbym jednak wiedzieć, aby móc podzielić się z czytelnikami ciekawymi spostrzeżeniami o życiu prywatnym pana.

— Zastanawiałem się właśnie, czy mam się dziś ogolić, czy też chodzić cały dzień z twarzą niegoloną.

— Doprawdy niezmiernie ważne zagadnienie! Przechodząc jednak do spraw kinowych — pytałem dalej notując równocześnie poprzednią odpowiedź — czy bywa pan obecnie dużo w kinach i jakie może pan z tego wysnuć refleksje?

— Owszem. Bywałem dość dużo, a obecne spostrzeżenia moje są, niestety, smutne.

— Czy można wiedzieć czego dotyczą?

— Bardzo chętnie, otóż są one w ścisłym związku z „Dniem oszczędności“.

— Przepraszam bardzo, lecz nie rozumiem.

— No, przecież to takie proste: kino jest wrogiem oszczędności, a oszczędność kina, zwłaszcza od czasu wprowadzenia dźwiękowców.

— Ach, tak, bilety znacznie podrożały.

— Właśnie, niedość, że człowiek musi tyle wycierpieć w czasie słuchania filmu — prawda, jak to dziwnie brzmi: słuchać filmu — jeszcze musi za tę wątpliwą przyjemność znacznie drożej płacić, niż płacił poprzednio.

— Jakie więc jest pańskie zdanie o dźwiękowcach?

— Widzi pan w krótkości możnaby to tak wyrazić: kino jest pewnego rodzaju paradoksem. Do czasu wprowadzenia dźwiękowców było ono dostępne dla ludzi przynajmniej niezłe widzących, od czasu zastosowania tego najnowszego wynalazku staje się dostępne dla widzących, lecz niesłyszących, jeśli jednak wprowadzą filmy dźwiękowo-kolorowe kino będzie dostępne tylko dla głucho-niemych i ociemniałych — wszyscy inni będą w niem doświadczać więcej zawodów, niż przyjemności.

— Zdaje mi się, że nie jest pan zbyt dobrze usposobiony dla dziesiątej muzy.

— Co znowu, jestem zwolennikiem kina i dlatego mówię o niem tak źle. Proszę się nie dziwić. W rzeczywistości w życiu zawsze tak bywa. Ludzie starają się unikać w rozmowie tematów obojętnych, a mówią o rzeczach, które ich interesują. Dlatego to właśnie taką plagą miłych zebrań towarzyskich są fachowcy. Raz musiałem naprzykład wysłuchać w ten sposób godzinnego wykładu o orce z pogłębiaczem, lecz zdaje mi się zbyt odbiegam od tematu.

— W rzeczywistości ale to nic nie szkodzi. Polecono mi w redakcji zrobić z tego wywiadu feljeton.

— Ach, feljeton to przemiły utwór i właśnie doskonale wiąże się z kinem — powinien przypominać amerykańską komedię, to znaczy nie mieć zbyt wiele treści i sensu, lecz za to musi posiadać doskonale tempo, dużo niespodziewanych tricków i humoru. Wracając jednak do kina. Czy wie pan, jak nazywa się dziesiąta muza?

— W istocie tak mało zajmowałem się mitologią, że...

— Nazywa się Kinpsychora — oznajmił poważnie mój niezwykły rozmówca.

Byłem formalnie zdruzgotany.

Milczałem.

W myśli wirowało mi nieuchwytne pytanie: co będzie dalej?

— Otóż — ciągnął po chwili przerwy mój rozmówca — imię to jest imieniem wróżebnem. (literatura imion wróżebnych znajduje się u K. Hłakowiczówny) — a znaczy ono, że muza kina jest chora z rozpacy ponieważ schodzi na psy.

— A czy jest według pana jakaś droga ratunku? — zapytałem.

— Bardzo prosta. Starajmy się o to, aby filmy nieposiadające wartości artystycznej nie miały powodzenia, a wtedy wytwórci będą musieli produkować filmy artystyczne. Widać pan więc, że i publiczność przyczynia się do upadku kina.

Po tych słowach pożegnałem naszego miłego rozmówcę

serdecznie ściskając w prawicy jego lewą rękę, zresztą dobrze nie wiem, może to właśnie lewa ręka była moja. Bo muszę nadmienić — trochę późno wprawdzie — że z braku kogoś innego powyższy wywiad miałem z samym sobą.

*Michał Ochorowicz.*

## Z PRZYRODY I TECHNIKI

# Przyływ i odpływ na usługach techniki

Człowiek współczesny podobny jest do potężnego władcy, który z niezwykłą surowością i okrucieństwem nakłada i zbiera podatki od swych podwładnych. Tymi podwładnymi władcy-człowieka są siły przyrody, które wszystkie służyc nam muszą.

Do takich właśnie źródeł energii, na które inżynierowie zawsze jeszcze patrzą z serdecznym żalem należy energia przyływu i odpływu morskiego, niezwykle potężna, a jednak dotąd prawie zupełnie niewykorzystana.

Znamy już przyczyny zjawiska przyływów i odpływów, zdołaliśmy je ująć w formułach matematycznych, niestety dotąd niewykorzystano, prawie nigdzie, technicznie olbrzymich ilości energii, zawartych w napierających codziennie na podstawy łódów falach morskich. Obecnie właśnie mamy do zainicjowania kilka projektów zmierzających do częściowego ujarznienia tej siły.

Już od niepamiętnych czasów istnieją na wybrzeżu zatoki Biskajskiej pewnego rodzaju młyny pracujące pod wpływem siły przyływów i odpływów, jednak tak nieekonomicznie, że dopiero dziś Francuzi zdecydowali się na budowę wielkiej prądnicy próbnej, przyływowej w Aber Vrach. W Anglii i w Stanach Zjednoczonych zostały już również opracowane odpowiednie projekty.

Najkorzystniej jednak przedstawiają się warunki wykorzystania tak niezwykłego źródła energetycznego w Argentynie, mianowicie przy zatoce San José, będącej częścią ogromnego basenu oceanu Atlantyckiego de San Matias. W czasie ostatniej Międzynarodowej Konferencji Energetycznej w Berlinie (16 do 25 czerwca r. b.) zreferował inżynier argentyński M. E. Piaggie niezwykle ten projekt.

Zatoka San José obejmuje teren o powierzchni 780 kilometrów kwadratowych, jest to obszar przeszło 6 razy większy od obszaru miasta Warszawy. Z morzem atoli zatoka ta łączy się tylko na odcinku długości 7-miu kilometrów. Okoliczność ta ułatwia właśnie zupełne odcięcie zatoki od oceanu, zapomocą tamy takiej właśnie długości, a której głębokość

tylko w miejscach najgłębszych dosięgnie 54 metrów. W tamtej umieszczonoby 376 turbin, połączonych z dynamomaszynami, które byłyby wprawiane w ruch masami wody wtłaczającymi się w czasie przyływu do zatoki, a wylewającymi się z zatoki w czasie odpływu. Ponieważ różnica poziomu morza w czasie przyływu i odpływu wynosi w zatoce 4 do 8 metrów, łatwo stąd obliczyć, że codziennie 4 razy przelewają się przez ów próg oceaniczny 3000 do 6000 milionów metrów kubicznych wody. Energia wyswabadzająca się przy tem codziennie wynosi 70 do 250 milionów kilowatgodzin.

Niestety, technika współczesna nie umiałaby nawet w najlepszym wypadku wykorzystać całego tego ogromu energii. Nawet, gdyby zbudowano jaknajprecyzyjniejszą tamę siedmiokilometrowej długości byłoby rzeczą niemożliwą wykorzystać technicznie całą tą masę wody przepływowej. Powód tkwi w tej okoliczności, że największa różnica poziomów, jak już wiemy osiem metrów, jest jeszcze stosunkowo małą, a zresztą istnieje tylko przez kilka minut. Średnią różnicę poziomów będzie można określić na zaledwie dwa metry.

Według obliczeń inżynierów argentyńskich można się liczyć tylko z piętnastu milionami kilowatgodzin energii na dzień. Gdyby z tych piętnastu milionów tylko dziesięć milionów codziennie zużyto cena jednej kilowatgodziny wynosiłaby zaledwie trzy grosze. Jeśli uwzględnimy, że w Warszawie płaci się przeszło 70 groszy za kilowatgodzinę energii elektrycznej, to zrozumiemy, że Argentyńcy rozporządzaliby bajecznie tanim prądem elektrycznym.

Świat techniczny śledzi z niezwykłym zainteresowaniem dalszy rozwój problemu zatoki San José. Gdy wreszcie zbudowana zostanie niezwykła elektrownia, będziemy mogli szczyścić się podbojem nowej siły przyrody, która dotąd nieokleczna drwiła sobie z wszelkich prób i usiłowań człowieka.

Nasz imperjalizm techniczny, jak widać, nie zna granic, do rzetelnej pracy zaprzęga wszystkie istniejące na Ziemi siły i rozporządza nimi według własnych kaprysów i chęci.

*Dr. F. Burdecki.*

## KRONIKA SPORTOWA

Tydzień ostatni stał pod znakiem piłki nożnej. W niedzielę 26 października Polska poraz pierwszy pozwolila sobie na luksus prowadzenia walki na dwa fronty — rozgrywania w jednym dniu dwu meczów międzypaństwowych: z Czechosłowacją w Pradze i Łotwą w Warszawie.

Eksperyment to był niebezpieczny, i oczywiście na kapitał sportowego P. Z. P. N. posypały się liczne zarzuty ze strony naszych zawsze licznych malkontentów.

Nie pomyśleli oni tylko o tem, że o poziomie danego sportu świadczą mniej sukcesy, osiągnięte przez specjalnie wy-

hodowaną i wychuchaną reprezentacyjną drużynę, niż fakt posiadania licznej i wyrównanej „pierwszej klasy“ — licznych zastępów dobrych graczy.

O tem, że możemy już w piłce nożnej walczyć na dwa fronty, czyli, że posiadamy już nie tylko jedną pierwszorzędną „jedenastkę“, a wystawić możemy nawet cały szereg zespołów mniej więcej równowartościowych — świadczył już mecz ze Szwecją w Sztokholmie. Grała tam drużyna młoda, którą znawcy, pozostający jeszcze pod czarem sławy starych gwiazd — niechybnie nazwałby musieli „drugim garniturem“. I uzyskała

wspaniały sukces, dzięki swej ambicji i woli zwycięstwa, większych zapewne niż te, na jakieby się zdobyć mogli zblazowani starzy matadorzy. Upoważniło to bezsprzecznie do sądenia, iż walka na dwa fronty leży całkowicie w naszych możliwościach, i upoważniło do przeprowadzenia eksperymentu tembardziej, że młodym siłom trzeba przecież dać możność wypłynięcia na szersze wody.

Eksperyment się udał. Wprawdzie z Czechosłowacją przegraliśmy 1:2, ale po walce równorzędnej, przyczem mimo porażki zdobyliśmy puchar środkowoeuropejski przed Węgrami, Austrią i Czechosłowacją, krajami o wielkiej sławie piłkarskiej.

Drugi mecz, z Łotwą, zakończył się świetnym triumfem Polaków w stosunku 6:0 nad przeciwnikiem, nie będącym znowu tak słabym, jakby się wydawać mogło. I właśnie przeciw Łotyszom grał zespół „młodych“. Nie ulegli oni wpływowi zgubnemu „krakania“ rodzimych malkontentów, nie ulegli się — i zwyciężyli.

Za pasem już mamy sezon sportów zimowych. Zaczął się więc ruch ożywiony wśród narciarzy, hokeistów i łyżwiarzy. Dnia 12 października odbyła się w Katowicach konferencja, na której uzgodniono program działania wszystkich trzech związków i ustalono obfity kalendarz tegorocznych zawodów. łyżwiarze pozatem postanowili przeprowadzić w czasie od 15 stycznia do 28 lutego kurs instruktorski, którym kierować będzie trener sprowadzony z Węgier; na kurs ten zjadą się kandydaci z całej Polski, by po powrocie propagować piękny swój sport na miejscu.

łyżwiarstwem zainteresowało się również Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, uważając je słusznie za najwłaściwszy sport zimowy dla szkół, i specjalnym okólnikiem poleciło go popierać. Spodziewać się więc można, że w zimie bieżącej ruch łyżwiarzowski wśród uczniów szkół średnich przede wszystkim poczyni wielkie postępy.

Hokeiści, mając przed sobą gigantyczną imprezę — mistrzostwa świata, które odbędą się w Krynicy — szykują się intensywnie. Od 1 grudnia ułatwi im zadanie fakt posiadania pierwszej w Polsce sztucznej ślizgawki, której budowa, w Katowicach, dobiega końca.

W. J.

## Zmiany konstytucji w historii narodów

Owieczne prawo ruchu i przemiany nie ogranicza się tylko do praw fizycznych. Przejawia się ono w całej pełni w życiu społecznym i politycznym. Ciągła dążność do zmian w życiu państwowym wyraża się przede wszystkim w dokonywających się często przemianach ustrojów i konstytucyj poszczególnych krajów i społeczeństw.

Słynny historyk i myśliciel francuski, Thiers, był tym, który słusznie stwierdził, że „konstytucje winny być tworzone dla narodów, a nie narody dla konstytucyj“. To też naród francuski istotnie dokonał tych zmian najwięcej. Od zwołania Stanów Generalnych w roku 1789, Francja aż 12 razy zmieniła swą konstytucję. Po monarchistycznej konstytucji z roku 1792 — wprowadzono w roku następnym republikańską, która znowu została zmieniona w roku 1795. W ósmym roku po rewolucji, t. j. w 1799, Francja otrzymała nową konstytucję zwaną „konsularną“. Następna reforma konstytucji jest dziełem Napoleona pierwszego. Po upadku Napoleona

rząd tymczasowy opracowuje w roku 1814 nową konstytucję. Tak zmieniają się konstytucje Francji z republikańskich na monarchistyczne i odwrotnie, — aż do dwunastej zmiany w latach 1870-75. Gdyby zaś oprócz tych zmian konstytucji francuskiej, uznanych jako zasadnicze, brać pod uwagę zmiany mniejszej wagi, liczba ta powiększyłaby się znacznie.

Francja jest klasycznym przykładem państwa, które wiele położyło nakładu pracy i energii, aby stworzyć taką formę ustroju, aby odpowiadała ona istotnym potrzebom narodu.

Podobne zjawiska powtarzają się w szeregu innych państw Europy i Ameryki, niemal wszędzie, gdzie istnieją społeczeństwa cywilizowane.

Belgia od czasu uzyskania swej niepodległości zmieniła swoją konstytucję cztery razy. Podobnie Bułgaria już trzy razy dokonała zasadniczych zmian w swej konstytucji, mimo, iż dopiero od końca 19-go wieku zalicza się do państw niezależnych. Dłuższą listę zmian posiada Holandia, która zmieniła swoją konstytucję już 6 razy.

Również i stare państwa Europy często uznają za konieczność przeprowadzać rewizję swych ustrojów, starając się zmieniać je stosownie do wymagań warunków życia nowoczesnego. Danja zrobiła to już czterokrotnie, a sąsiadująca z nią Szwecja zmieniła konstytucję swoją już pięciokrotnie, nie licząc przeprowadzania zmian mniejszego pokroju.

Kraje, leżące na drugiej półkuli świata, reformują swe konstytucje ogromnie często. Boliwia w ciągu niespełna stu lat cztery razy poczyniła bardzo zasadnicze i obszerne zmiany ustrojowe, Brazylija zaś konstytucję swoją zmieniła aż trzy razy w ciągu czterech dziesięcioleci lat. Argentyńska — mimo, że już pięciokrotnie dokonała zmian, — obecnie właśnie dąży jak wiadomo, do nowej radykalnej zmiany ustroju.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej przechodziła w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat przez częste drobne zmiany, na których jednak sama ludność poprzestać jeszcze nie zamierza. Ciągłe też zmiany dokonywane są w konstytucjach Kanady i Australji, które to kraje ustawicznie dążą do nowych form, uniezależniających je od Anglii.

Nawet w pośród państw, które odzyskały swą wolność po wojnie, Estonia i Finlandja zmieniły swe konstytucje już dwukrotnie. Polska zmierza dziś do tego samego celu. Nie wolno jej zostać w tyle. Dziś cały świat wie, że reforma jest warunkiem postępu, gdyż konstytucja nie może być martwą, lecz musi odpowiadać wciąż nowym i wciąż naprzód idącym wymaganiom życia i czasu. Konstytucja bowiem winna być prawem, które dostosowuje się do postępu i rozwoju narodu i państwa, gdyż tylko w tym razie jest celową i racjonalną

Juljan Sobiesz.

## H U M O R

Nauczyciel opowiada w salonie, że jeden z uczniów na pytanie „kto napisał Hamleta“, odpowiedział zalekniiony: „Ja nie napisałem, Panie profesorze, może to który z innej klasy“.

Pani domu odzywa się na to:

— Ale pan jest bardzo srogi, panie profesorze, może on tego rzeczywiście nie napisał?

W ankiecie przyslanej do gminy był punkt: „flora i fauna“. Odpowiedź wójta brzmiała:

„Flora mieszkała dawniej we wsi, prała bieliznę i już umarła, ale nijakiej fauny nigdy u nas nie było“.

# KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

## W związku z artykułem: „Pozwólcie być nam młodymi“

Zainteresował mnie bardzo artykuł 13-tego numeru „Sternika“: „Pozwólcie nam być młodymi!“ Nad poruszoną w nim kwestją wychowania fizycznego na terenie szkoły średniej zastanawiałem się i myślałem nieraz. Na ten temat, w gronie najlepszych kolegów, prowadziliśmy częste dyskusje, które nas zawsze porywały, napełniały smutkiem wobec dzisiejszego stanu rzeczy i budziły zacietęłość: — iść naprzód o własnych siłach.

Wyżej wymieniony artykuł porusza sprawę wychowania fizycznego na terenie gimn. Reja. W swoim artykule chcę przedstawić jak się rozwija wychowanie fizyczne w średnich zakładach prowincjonalnych. Wszystkie one, pod tym względem, stoją mniej więcej na jednym poziomie i mają te same warunki rozwoju. To też obraz naszej szkoły można rozszerzyć, z małymi zastrzeżeniami, na wszystkie zakłady prowincjonalne, kresów zachodnich.

Seminarjum nasze, leży w zapadłym miasteczku powiatowym (Szczuczyn koło Lidy), jest jedyną średnią szkołą na terenie powiatu. Odcięte od świata kulturalnego, musi wystarczyć samo sobie. Niema nawet mowy, aby seminarjum pobudzały do pracy jakieś czynniki zewnętrzne, odwrotnie, musi ono promieniować na zewnątrz i pociągać otoczenie, zawsze skore do maśladownictwa. To też i wychowanie fizyczne sami musimy postawić na należytym poziomie. Z siebie musimy brać pobudki, zachęcając jedni drugich do pracy i wytrwania. Naszym obowiązkiem jest: rozszerzyć ideę wychowania fizycznego na szersze masy.

W nasze zapleśniałe mury sport wkraczał leniwie, powoli. Ze świata dochodziły o nim echa na łamach „Stadjonu“ i innych pism. Czytaliśmy z zaciekawieniem, a nieraz wprost z natężeniem sprawozdania sportowe. Czasami wpadł do ręki poważniejszy artykuł, zastanawiający się nad ideą wychowania fizycznego; jednakże zawsze interesowały nas więcej sukcesy asów, niż artykuły „przepojone morałami“ — młodzież lubi sensację! Nam młodym obdarzonym nadmiarem sił życiowych, trudno wytrwać w pracy mrowczej, systematycznej — porywają nas rzeczy niezwykle, rewelacyjne.

Były chwile, że prawie wszyscy biegali, skakali, rzucali na gwałt, gorączkowo, z zapałem — słomiany ogień. Wybuchał on przed zawodami, które były urządzane raz na rok. Jednak najczęściej przechodził bez echa — po zawodach zapominało się o sporcie i ograniczało się tylko do czytania sensacyjnych sprawozdań.

Nieliczne jednostki wytrwały w pracy — znalazło się kilku kolegów, którzy wolno, ale systematycznie uprawiali sport. Wytrwali oni, aż do chwili obecnej — i są z siebie zadowoleni. Należałoby z nich wziąć przykład i pójść ich śladami: przez pracę systematyczną, nie dla rekordu, ale dla zdrowia i dopiero przez zdrowie do rekordu. Oni tylko zrobili postęp i dzisiaj są asami na terenie swojej szkoły.

Inni są zniechęceni, wstydzą się swoich wyczynów, mówią, że już zapóźno i ograniczają się tylko do gier. Koledzy, którzy zrozumieli ideę sportu zachęcają innych, rezygnują z brania udziału w zawodach, aby nie zniechę-

cać słabszych, jednakże to mało pomaga. Brak zrozumienia idei sportu, a tem samym brak zamiłowania i cierpliwości nie dozwala pozostałym kolegom wytrwać w systematycznej pracy.

Musi przyjść pomoc z góry, od dyrekcji i ministerstwa. Jakże byłoby dobrze, gdyby dyrekcja wzięła czynny udział w propagandzie sportu. „Czy wprowadzenie takiej odznaki sportowej nie przyczyniłoby się do podniesienia ogólnego poziomu“?... Z pewnością, że tak.

Pod względem wyposażenia idziemy z roku na rok naprzód. W tym roku urządziliśmy planowo boisko z bieżnią. Daje się dotkliwie odczuć, szczególnie w zimie, brak sali gimnastycznej.

Gdy nasi koledzy z miast są lepiej zaopatrzeni w przyrządy, my mamy więcej przestrzeni, słońca i czystego powietrza. Nie powinniśmy od nich stać niżej, nie mówię już pod względem zdrowia, ale i pod względem wyczynów. Jeżeli stoimy niżej od nich, to tylko może dlatego, że nie mamy podnień z zewnątrz. Ruchem naszym nikt się nie interesuje. Często są sprawozdania o szkołach miejskich, o prowincjonalnych niema kto pisać, bo i któż zresztą wie, co tu się u nas robi. Musimy iść sami przez pracę i wytrwanie!

R. L.

## O wszystkim potrosze

### EUROPEJSKIE POCHODZENIE CYWILIZACJI EGIPSKIEJ

Znakomity egiptolog angielski Flinders Petry, który niedawno powrócił z Egiptu, wystąpił z sensacyjną teorią, iż pierwotna cywilizacja Egiptu pochodzi z Kaukazu. Pomimo, iż okresy panowania pierwszych faraonów sięgają w głęboką starożytność, to jednak okazuje się iż nie byli oni pierwszymi nosicielami kultury w Egipcie i że wyprzedza ich długi szereg innych ludów, będących nosicielami bardziej prymitywnej kultury. Kulturową tę, która otrzymała miano badrieńskiej (od nazwy miejscowości, gdzie przeprowadzono badania) charakteryzuje przede wszystkim obecność kamiennych narzędzi — rzecz dziwna — podobnych niezmiernie do narzędzi drugiej połowy europejskiego kamiennego wieku. Flinders Petry od razu wypowiedział mniemanie, iż kultura badrieńska jest pochodzenia obcego i najprawdopodobniej przywędrowała gdzieś z północy. Stopniowe pogarszanie się typów kamiennych narzędzi wskazywało na degenerację tej kultury, która wreszcie upadła całkowicie i dopiero po upływie dłuższego czasu została zastąpiona przez kulturę pierwszej dynastji faraonów. Dalsze badania nasunęły angielskiemu egiptologowi myśl, iż kultura badrieńska przywędrowała tu z Kaukazu. Przede wszystkim w warstwach, które przechowały jej pozostałości, znaleziono ziarna pszenicy, niepodobne do tej odmiany, którą kultywowano w starożytnym Egipcie, Babilonie lub Rzymie. Badrieńska pszenica jest niewątpliwie północnego pochodzenia i jeżeli nawet nie pochodzi bezpośrednio z Europy północnej to w każdym razie stanowi odmianę pszenicy europejskiej. Lecz można jeszcze bardziej dokładnie ustanowić źródła tej kultury północnej, która zaniosła w dolinę Nilu początki rolnictwa, t. j. tej gałęzi działalności ludzkiej, która stała się podstawą całego życia Egiptu. Zwrócono mianowicie uwagę na fakt, iż nazwy geograficzne figurujące w najświętszej księdze starożytnych Egipcjan „Księdze Zmarłych“ — odpowiadają niemal zupełnie nazwom miejsco-

wości Kaukazu. Idąc za temi wskazówkami Flinders Petry sporządził spis wszystkich nazw zawartych w Księdze Zmarłych i zgodnie z danymi kontekstu ustanowił ich topograficzną zależność. Okazało się, iż większą część tych nazw można znaleźć w lekko zmienionem brzmieniu na Kaukazie i w przylegających polaciach Azji — przyczem stosunki topograficzne pozostawały bez zmiany. W księdze zmarłych spotkać można takie nazwy, jak Baku, Reszt, Urmja i t. p., przyczem wspomina się tam również o „płonącym jeziorze”. F. Petry sądził, iż mowa tu o źródłach naftowych Kaukazu. Wreszcie należy wziąć pod uwagę, iż główny egipski bóg Ozyrys był bogiem ziarna i pochodził z tego samego kraju, który opisuje Księga Zmarłych. Co więcej nosił on imię króla Akrety (Ekeretyka) — imię oczywiście kaukaskie. W dodatku legenda twierdzi, iż to właśnie Ozyrys zaszczerpił Egipcjanom cywilizację i początki rolnictwa. Wszystkie powyżej przytoczone dane czynią bardziej prawdopodobną hipotezę, iż kultura badrieńska, z którą przywędrowały złote ziarna pszenicy i sztuka ich uprawy, pochodzą z czarnoziemnych równin północnego Kaukazu.

#### OCEANODROMY

Oceanodrom — to nowy wyraz, który wkrótce będą musiały zarejestrować nasze słowniki wyrazów technicznych. Słowo to wejdzie zresztą w powszechny użytek, będzie bowiem nazwą sztucznych wysp wśród bezmiarów wód Atlantyku między Europą i Ameryką. Idea sztucznych wysp, które byłyby stacjami odpoczynkowymi dla samolotów utrzymujących stałą komunikację powietrzną krajami dolara ze starą Europą, nie jest już nową. Mianowicie pięć lat temu pewien inżynier francuski skonstruował model takiej wyspy, lecz nawet w naszej epoce, w której zdawałoby się niema rzeczy niemożliwych do zrealizowania, projekt ten został uznany za fantastyczny i niewykonalny. Była to mrzonka, jeśli nie poety to inżyniera, lecz jak wspomnieliśmy, dzieło się to już dawno, bo 5 lat temu. Dziś idea ta zesza z wyżyn fantazji na trzeźwy grunt naszej planety i... realizuje się pod fachowem kierownictwem angielskiego inżyniera Edwarda Armstronga, który montuje pierwszy z ośmiu planowanych oceanodromów.

Na wyspach oceanodromach zbudowane zostaną niewielkie, lecz komfortowo urządzone hotele, w których pasażerowie przed dalszym wyruszeniem w drogę, będą mogli nieco wypocząć. Stalowe platformy wysp zaopatrzone zostaną w potężne reflektory, których światło po nocach widoczne będzie z dalekich odległości. To pozwoli transatlantyckim statkom powietrznym łatwo orjentować się w sytuacji.

Budowa sztucznych wysp wysunie na porządek dzienny cały szereg problemów, nieprzewidzianych przez prawo międzynarodowe. A więc czy wyspa sztuczna traktowana być winna jako okręt, czy też jako część terytorjum? A w związku z tem jakimu kodeksowi podlegać ma ludność wyspy?

I tak więc prawodawstwo po raz pierwszy zetknie się z takim obiektem, który nie jest „ani rybą, ani mięsem”, bo ani lądem ani morzem.

L. R.

## Dział rozrywek umysłowych

Termin nadsyłania rozwiązań z tego numeru upływa w dn. 28 listopada.

### KONKURS „CZY WIESZ?”

Warunki konkursu podane zostały w Nr. 13.

#### ZADANIE VI.

Za rozwiązanie tego zadania — 3 punkty.



Co to?

#### ZADANIE VII.

Jakie to stworzenia? Za odgadnięcie każdego — po 1-ym punkcie.

1. Zaledwieśmy się zbliżyli do owsa, gdy ze zdźbła zeskoczył. Chcę go schwytać i wyciągam rękę, ale dał potężnego susa i odrazu znalazł się o kilkanaście kroków od nas. Może to zresztą i lepiej, żem go nie złapał, bo ma potężne szczęki i może niemi ugryźć w palec aż do krwi. W zwykłych warunkach kraje niemi zboża, trawy oraz różne ziola.

2. Oddycha on płucami i dlatego nie może wytrzymać ciągle pod wodą; wypływa więc od czasu do czasu na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza. Poluje w wodzie na owady i ślimaki; jada także ryby, odgryzając im przytem pęcherz pławny. Ku wieczorowi wylazi na ląd i tam również żeruje.

3. Spokojny i ociężały lubi wylegiwać się w swej norze, do której chroni się wraz ze świtem, a opuszcza dopiero późno w nocy. Żywi się pokarmami roślinnymi i bardzo chętnie jada jagody, nie gardzi jednak również drobniejszymi zwierzętami, jak myszy i żaby. Pod tym względem podobny jest do niedźwiedzia.

### Odpowiedź Redakcji

P. Harry Kolbow.

Bandzo chętnie skorzystamy ze współpracy Pana. Prosimy o przybycie do Redakcji w którykolwiek poniedziałek w czasie dyżuru.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 639-86. Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów w poniedziałki i czwartki od 6 do 7 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł. 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Sekretarz red. M. Ochorowicz. Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80, 635-83.